

Dziś w numerze: Tak się zaczęło... • Od Glasgow do Edynburga • 40-lecie pracy naukowej Stefani Skwarczyńskiej • A propos Polichno • Przyjaciel w potrzebie • Opowiadania • Felietony • Recenzje • Polonica

WIMOP  
Im.  
J.P.  
w Łodzi

# O d g ł o s y



Nr 3 (365)  
23. I. 1966 r.  
10 stron  
Cena 1 zł

10840-A

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK IX

19 I 1945 r.

19 I 1966 r.



Fot. W. Parys

BOLESŁAW BARTOSZEWICZ

## Moje SPOTKANIA Z Łodzią

Moje pierwsze spotkanie z tym miastem było pełne poetyckiego uroku. Stało się tak mimo, iż spotykałem się oto nie z murami owianymi patyną wieków, nie z grodem przeciętym romantyczną rzeką, nie z tym wszystkim, co tak charakterystyczne jest dla Krakowa lub Torunia. Ale Łódź przybliżyła się do mnie na odległość serdecznego odczucia. Spowodował to przepiękny utwór Juliana Tuwima, ten, który poeta nazwał rozwiękle, ale jakże uroczym: „Gawęda rymowana o ojcu i synu, o dwóch miastach i starej piosence”. Byłem wtedy dorastającym chłopcem i wszystkie nowe sprawy miały dla mnie o tyle urok, o ile tłumaczyły się właśnie poezją. O ile w niej ukazywały swój kształt niepospolitą. A ponieważ mowa o poezji, kształt musiał być niepospolity.

Nie napisałem tego wszystkiego po to, by z kolei wyrazić rozczarowanie. Ze niby konfrontacja była przerażająca; że miasto, obejrzone oczami nie przykrytymi gawędą rymowaną okazało się okropne. Nie podobnego! Jak daleko sięgam pamięcią wstecz — do owego poematu tu drukowanego wtedy na łamach „Przekroju” i następnie do pierwszego przyjazdu na krótko do Łodzi — miasto to wymurza mi się z przeszłości jako miłe, bliskie, pełne rozmachu i wielkomięjskiego życia. Tu jednak nie będzie między mną, a łódzkim czytelnikiem żadnej bynajmniej kontrowersji. Łódź pierwszych lat powojennych przejęła rolę w wielu wypadkach ośrodka centralnego. Jej bliskość stolicy, ale zniszczone jej domy, charakter dużego miasta, były tymi czynnikami, które właśnie o tym zadecydowały. Ale w latach następnym, gdy dźwignęła się Warszawa, gdy Łódź opuścili i ten, i ów — i ci, którzy oczekiwani byli gdzie indziej, i ci, którzy ze zwykłego snobizmu chcieli koniecznie mieszkać w stolicy. — nad Łodzią zawisła groza. Wtedy nad tym świetnym i dumnym miastem pojawiło się niebezpieczeństwo prowincji.

edydowały. Ale w latach następnym, gdy dźwignęła się Warszawa, gdy Łódź opuścili i ten, i ów — i ci, którzy oczekiwani byli gdzie indziej, i ci, którzy ze zwykłego snobizmu chcieli koniecznie mieszkać w stolicy. — nad Łodzią zawisła groza. Wtedy nad tym świetnym i dumnym miastem pojawiło się niebezpieczeństwo prowincji.

Gdy jednak z perspektywy minionych lat spojrzeć spokojnie na tę sprawę, okaże się, że ów okres centralizacji dotknął boleśnie nie tylko Łódź. Nie tylko stąd wyjechał potrzebni ludzie do stolicy (potrzebni tu i, oczywiście, tam). Nie tylko w Łodzi przestały funkcjonować niektóre instytucje kulturalne, tak prężne i świetnie działające w latach 1945—1948. Kiedy narodziła się dobra koniunktura połowy lat pięćdziesiątych, sytuacja — tak wiadomo — zaczęła się gwałtownie zmieniać znowu na lepsze. I jeśli dzisiaj mówimy o rozwoju społecznego ruchu kulturalnego w Polsce, o tym, że działają w różnych miejscowościach — nawet najmniejszych — stowarzyszenia społeczno-kulturalne, to właśnie dzieje się tak dzięki owej koniunkturze.

Łódź drugiego dziesięciolecia Polski Ludowej skorzystała z dobrej koniunktury w stopniu nie mniejszym niż inne wielkie miasta. Przy ulicy Piotrkowskiej i wokół niej powstały nowe i — warto dodać — poważne instytucje, ożywiające już samym swoim istnieniem życie artystyczne i w ogóle kulturalne miasta. Podnoszące jego rangę. Powstanie Wydawnictwa Łódzkiego, którego dzisiejszy dorobek edytorski jest pozycją w skali ogólnopolskiej i ogólnonarodowej, czy usamodzielnienie się „Odgłosów” to przecież — jak wszyscy dobrze wiemy — nie jedyne tego typu dobre i trwałe fakty.

Napisałem: przy ulicy Piotrkowskiej i wokół niej. Ale przecież Łódź to nie tylko okolice Grand Hotelu, i tu właśnie tkwi problem. Kiedy przed niedawnym czasem miałem pogadankę w świetlicy społecznej przy ulicy Osadniczej, a więc na dalekich Bałutach, dowiedziałem się, że moi słuchacze w teatrach śródmieścia bywają — zmiernie rzadko, że związani są z wielkim miastem prawie wyłącznie

Dalszy ciąg na str. 4

ANDRZEJ MAKOWIECKI

## UWERTURA PATETYCZNA

Było to, dokładnie, 17 lutego 1915 roku. Wieczorem, pod gmach Teatru Wielkiego, na pierwszy koncert symfoniczny w dziejach naszego miasta, dorożkami, karetami, a także automobilami co rozwijały na prostej szybkość maksymalną 20 km w godzinę — zajeżdżała śmietanka towarzyska z gracją i fasonem, w sukniach czarnych i wytwornych frakach...

19 stycznia 1966 roku — zatłoczone tramwaje, taksówki i wozy prywatne, szarżujące z obawy przed spóźnieniem 60 km na godzinę — przywoziły pod inny gmach ogromnego miasta — innych ludzi, choć na tę samą muzykę...

Beethoven! Dzisiaj i wówczas. Spinający złotą klamrą półwiecze łódzkiej sztuki.

I.

Jubileusz. Pięćdziesiątolecie Filharmonii. Tradycja... Ciężka to była droga. Przez dwie wojny, gorycz i zwątpienia.

Dopiero w kilka dni po pierwszym koncercie — „NOWY KURIER ŁÓDZKI” zawiadomił opinię publiczną, że zespół, który wystąpił okazjonalnie na scenie Teatru Wielkiego — zmontowany ad hoc,

na jeden wieczór, aby przeznaczyć cały dochód na rzecz zubożałych muzyków — będzie trwał dalej pod batutą Tadeusza Mazurkiewicza jako ŁÓDZKA ORKIESTRA SYMFONICZNA.

Szesnastego kwietnia 1915 roku honorowym prezesem i protektorem LOS zostaje Karol Wilhelm Scheibler.

Trzynastego maja — LOS przenosi się ze starymi koncertami do sali przy ul. Dzielnej (obecnej siedziby Filharmonii), gdzie — mimo możnego opiekuna — boryka się z dużymi trudnościami właśnie natury finansowej.

W kronice filharmonicznej czytamy:

„25. XII. 1916 r. w celu poprawy sytuacji materialnej łódzka orkiestra symfoniczna otworzyła w Domu Koncertowym kinoteatr, dając do wy-

świetlanych obrazów ilustrację muzyczną”.

„26. VIII. 1917 r. LOS pod dyrekcją nowego kierownika, Bronisława Szulca koncertowała w Helenowie i brała udział, wspólnie z chórem Towarzystwa Muzycznego im. Chopina, skrzypkiem Alfonsem Brandtem i orkiestrą 3 Pułku Piechoty Wojsk Polskich, w występach podczas zabaw połączonej z matchem footballowym...”

„31. X. 1917 r. Magistrat m. Łodzi odkłada sprawę załatwienia próby zarządu LOS o przydzielenie subsydium...”

Takie były początki. Brak podstaw finansowych zmuszał zespół do korzystania z ofiar społeczeństwa stowarzyszonego w „Kole popierania Łódzkiej Orkiestry Symfonicznej”. Dopiero po wywołaniu — nacisk elementem demokratycznych i lewicowych spowodował nie-

znacznej poprawie sytuacji — niewielkie dotacje władz miejskich, stypendia, okresowe zapomogi...

W czasie kryzysu gospodarczego zespół przeżywał ciężkie chwile — bywały tygodnie i miesiące bez jednego koncertu, pesymiści przewidywali całkowity krach. Niemniej jednak, do wybuchu drugiej wojny światowej Łódzka Orkiestra Filharmoniczna (bo tak od dnia pierwszego października 1921 r. zespół się firmował) dotrwała, uzyskując, wbrew wszelkim trudnościom, bogaty dorobek artystyczny. Prowadzili ją gościnnie w tym pierwszym, ciężkim okresie

Dalszy ciąg na str. 4

# 10 SWIATA

Uroczystości pogrzebowe premiera Shastri w Delhi, odbywające się w atmosferze oświadczenia chwilowo sprawującego funkcje szefa gabinetu - Nandy. India respektuje porozumienie tashkencie, i spotkania w stolicy Indii czolowych mężów stanu, w tym: Kosygin - Humphrey, a także pobyt Szelepin w Hanoi - z nową siłą wniosły na porządek dzienny problem Wietnamu. Wzmogły też spekulacje komentatorów. I chyba wyraźniej niż do tej pory przewija się przez nie nadzieja, że mimo wszystko wzrastają szanse na negocjacje.

Czy są ku temu jakieś podstawy? Niedługożby już wykazujemy na tym miejscu, że uzależnione to jest od Stanów Zjednoczonych, bo przecież Front Wyzwolenia Narodowego p.d. Wietnamu jasno sformułował, a Ho Chi Minh i ZSRR potwierdziły, jakie to muszą być spełnione warunki, by przywrócić pokój w Wietnamie. Pod tym więc kątem spojrzmy na doroczne oredzie prez. Johnsona o „stanie państwa”, które może być w omawianej sprawie ważnym wyznacznikiem.

Johnson, w znacznej części poświęcając je sytuacji wietnamskiej, starał się udowodnić słuchaczom, że Stany Zjednoczone stać „na masło, i na armaty”. Już samo takie postawienie sprawy wydaje się wskazywać, że prezydent USA zmuszony został do wyjaśnienia następstw swojej polityki.

Oredzie nie przyniosło w zasadzie żadnych niespodzianek, utrzymane jest w tonie pewnego optymizmu, kładzie duży nacisk na ostatnie zabiegi Waszyngtonu, przypominając, że wystawiony Stanów Zjednoczonych udeślił się do 40 krajów. Równocześnie jednak zapowiada bezwzględne dotrzymywanie „zobowiązań USA w Wietnamie i Azji”, którego to określenia oczywiście naszym Czytelnikom nie trzeba wyjaśniać.

Tak więc Johnson przyszłość konfliktu wietnamskiego pozostawił w zawieszaniu, zajmując wyraźnie pozycję wycofującą. Widocznie uznał, że gra polityczna nie została jeszcze zakończona.

Pozostałe problemy międzynarodowe potraktowano w oredziu wyjątkowo skromnie i ogólnikowo.

Powracając zatem do wyżej postawionego pytania: czy są jakieś podstawy do nadziei na osłabienie konfliktu wietnamskiego - nie można dać jednoznacznej odpowiedzi.

W końcu - pisze np. „Les Echos” - nie dokonano jeszcze wyboru między wojną i pokojem, na razie Johnsonowi chodzi w zasadzie o uzyskanie na czasie!

Komentatorzy dużo uwagi poświęcili także delhijskiemu spotkaniu premiera Kosygina z wiceprezydentem Humphrejem. Tematyka prawie dwugodzinnej rozmowy nie jest znana, jednak zgodnie określa się

ją jako „konstruktyną”. Podkreśla się przy tym, że był to pierwszy bezpośredni kontakt premiera Kosygina z wysokim przedstawicielem administracji amerykańskiej i że przewodniczący Rady Ministrów ZSRR wystąpił w nim jako „zręczny i szczęśliwy negocjator tashkencie”.

Obok Wietnamu, zaraz na drugim miejscu, pod względem rozmiarów zainteresowania opinii publicznej, trzeba wymienić zapowiedź złożenia wiosną lub wczesną jesienią br. wizyty przez prezydenta de Gaulle'a w Moskwie.

Przypomnijmy w tym miejscu, że gen. de Gaulle zaproszony został do Związku Radzieckiego przed sześciu laty, ale w listopadzie ub. roku, w czasie pobytu francuskiego ministra spraw zagranicznych - Couve de Murville'a w stolicy ZSRR, zaproszenie ponowiono. Teraz, wkrótce po powrotnym objęciu urzędu prezydenckiego, de Gaulle powziął decyzję. I właśnie czas jego zapowiedzianej podróży budzi największe komentarze.

„New York Times” pisze na ten temat:

„Wizyta generała de Gaulle'a jest pierwszym potwierdzeniem niezależnej pozycji nowej Francji wobec swych potężnych sojuszników”.

Z „Figaro” natomiast zacytujmy inny, znamienity fragment:

„Podróż gen. de Gaulle'a stanowić będzie dobrym wyrazem poprawy stosunków francusko-radzieckich, do czego prezydent Republiki przywiązywał zawsze jak największe znaczenie, chcąc podkreślić, że Francja o „suwobodnych rękach” może doskonale utrzymywać przyjazne stosunki zarówno z Moskwą, jak i Waszyngtonem”.

Jak myślicie, Czytelnicy, kogo zapowiedź moskiewskiej podróży najbardziej zmartwiła? Oczywiście, polityków bońskich. Przewidując, i chyba nie bez uzasadnienia, że centralnym punktem rozmów może być problem Niemiec, prasa NRF ubolewa: nie możemy już zdobyć generała dla swej sprawy. Zresztą od dawna nie jest ona już jego sprawą. Nie wystarczy na to ani niemieckie miliardy dla rynku rolnego, ani rezygnacja z dalszej integracji... Inaczej mówiąc: niecyfry Francji nie kupimy, ona nie jest ambasadorem naszych interesów.

Prawda. Który bowiem rozsądny polityk może nie dostrzegać niebezpieczeństwa roli Niemiec zachodnich we współczesnym świecie i godzić się na ich żądania naruszenia status quo?

- Nasza sytuacja - przyznaje publicysta „Stern” - przypomina zamknięte koło. Jesteśmy izolowani między Francją, która stała się nieufna i zdenerwowanym Związkiem Radzieckim... Stał się problemem dla swego otoczenia.

Boni przycyna więc kolejne „trześnienie ziemi”. Podniecenie, zdenerwowanie, zły humor, nadsłuchwanie co nastąpi dalej... I wszystko z powodu nowego przejawu realizmu de Gaulle'a. Czy nie potwierdza to, jak Jeruche są podstawy polityki NRF? W. ŚLAWSKI

\*) Nanda sprawuje tę funkcję tymczasowo, z nominacji prezydenta. Jak donoszą z Delhi największe szanse na zostanie premierem z wyboru ma Indira Gandhi.

# TKRONIKA TYGODNIA

Uchwały wrześniowego Plenum KC KPZR oraz listopadowej sesji Rady Najwyższej ZSRR w sprawie reorganizacji zarządzania, planowania i finansowania przemysłu są zdaniem miesięcznika „Nowy Mir” trzecią pod względem wagi tak ważną reformą w latach władzy radzieckiej, po NEP w 1921 roku oraz po zmianach, które nastąpiły w latach 1929-1932. Publicysta miesięcznika uważa, że decyzje odnośnie reformy nastąpiły w wyniku ogromnego wzrostu produkcji w okresie realizowanego planu 7-letniego, która jak gdyby „rozszedła” dotychczasową strukturę zarządzania i planowania.

W czasie obrad XXVII Krajowego Zjazdu szwedzkiej komunistycznej organizacji młodzieżowej kierownictwo organizacji przedłożyło zjazdowi wniosek proponujący wystąpienie ze Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej, która zdaniem tego kierownictwa nie odpowiada już aktualnym wymaganiom.

Mimo intensyfikacji działań wojennych w Wietnamie „ogólna kontrola nad krajem pozostała w grudniu ub. roku) taka sama, jak na początku roku 1965... Rząd sajgonski utrzymywał tereny, które posiadał w pierwszych miesiącach 1965 roku. To, co było kontrolowane przez Vietcong, jest nadal przez niego kontrolowane. To, co leżało pośrodku, było sporne na początku 1965 roku, jest nadal sporne” - pisze w raporcie grupa senatorów amerykańskich, która pod przewodnictwem senatora Mike Mansfielda odbyła podróż po 13 krajach Europy i Azji w celu dokonania „obserwacji na miejscu” spraw związanych z problemem wietnamskim.

Jugosłowiańskie Ministerstwo Finansów zapowiedziało, że od roku 1970 dinar będzie swobodnie wymieniany na inne waluty. Dzięki temu „jugosłowiański system dewizowy będzie taki, jakiego wymaga nowoczesna i rozwinięta gospodarka”.

Na łamach moskiewskiego dziennika „Izwestia” opublikowany został artykuł pt. „Kameleony”, o dwóch autorach A. Sinlawskim i J. Daniele, którzy przez kilka lat wydawali pod pseudonimami swoje ocerniająca Kraj Rad publikacje w prasie i wydawnictwach zachodnich. „W burżuazyjnej prasie i radio zaczęły się pojawiać - czytamy w dzienniku - informacje o „nieuzasadnionym aresztowaniu” w Moskwie dwóch „literatów”, którzy

drukowali za granicą antyradzieckie paszkwile... Krótko mówiąc, wrogowie komunizmu znaleźli to, czego szukali: dwóch odszczepieńców, którzy obrali sobie za credo dwulicowość i bezwstyd. Ukrywając się pod pseudonimami Abrama Teriza i Mikolaja Arzaka, przez kilka lat szmuglowali oni potajem-



- Za mną...

(Die Zeit)

nie za granicę i publikowali tam brudne paszkwile na swój kraj, na partię, na ustrój radziecki”.

Prezydent Francji de Gaulle utworzył nowy rząd. Zdaniem większości komentatorów politycznych nowy rząd francuski będzie prowadził na płaszczyźnie wewnętrznej po-

lego współczesnego miedzynarodowego rewizjonizmu” i stanowi „wyjątkowo jasny wyraz istoty współczesnego rewizjonizmu”.

„Sowietskaja Kultura” wystąpiła z ostrą krytyką publikacji w sprawie w sprawie wspólnych inscenizacji operowych i baletowych tendencji „poprawiania” wystawianych dzieł sztucznych dezerplanu „happy-endów” wbrew logice artystycznej i koncepcji ideowej utworów. Tak los m. in. spotkał dzieło Strawińskiego „Historia żołnierza”. Wypacząc muzykę - pisze autorka artykułu - pogwałcono logikę dramatu wojny i postaci. W dorobionym „happy-endzie” żołnierz wbrew muzyce odnosi zwycięstwo, mimo że w partyturze final „nosi nazwę „Triumf szatana”.

Owo dążenie inscenizatorów do optymistycznego wydźwięku dzieł za wszelką ceną tkwił swymi korzeniami - zdaniem tygodnika - w skompromitowanej i odrzuconej przez wszystkie składowe „teorii bezkonfliktowości”.

Sekretarz Związku Komunistów Jugosławii V. Vlahovic oświadczył przed kamerami telewizji belgradzkiej, iż Związek Komunistów obrab wyrażną linię polegającą nie na szukaniu podporę w biurokracji, lecz samorządzie i w ludziach. Przy tym nastawieniu Związek stanie się mało interesujący dla rozmaitych karierowiczów. W partii rozpocznie się proces usuwania osób, które wstąpiły do zwiazku z przyczyn egoistycznych.

Pismo „Literaturna Gazeta” wysunęło propozycję zmian w regulaminie przyznawania Nagród Leninowskich w dziedzinie literatury i sztuki. Redakcja proponuje, aby Nagrody Leninowskie przyznawane były nie corocznie, lecz na przykład co trzy lata. Taki tryb przyznawania nagród pozwoliłby wysuwać do nagrody tylko te utwory, które wytrzymały próbę czasu i zyskały trwałe uznanie czytelników.

Swiadosc peha je nych do akcyj, innych rezymnacji.  
CHARLES DE GAULLE

Nawiązując do zakończonej niedawno konferencji poświęconej problemom badań naukowych i technicznych 21 krajów Europy zachodniej, USA, Kanady i Japonii, nowo mianowany minister do spraw nauki w rządzie francuskim Alain Peyrefitte powiedział, że również w dziedzinie nauki daje się zastosować formuła używana w ekonomii, a mianowicie, że „bogaty staje się bogatszy, a biedny biedniejszy”.

W niezwykle oryginalny sposób i radykalnie władze polityczne Kairu rozwiązały problem przestępczości kryminalnej na terenie tego miasta. Po prostu aresztowano i wywieziono, prawdopodobnie gdzieś na głęboką prowincję, ludzi podejrzanych o utrzymywanie się z kradzieży i rabunku. Selekcji dokonano po dłuższym okresie obserwacji kairskiego półświatka.

# B F D Z I E B A I

A więc mamy nareszcie karnawał! Tysiące bałwów przed nami - bezalkoholowe, z konsumpcją na miejscu i bez, z występami artystów, milicy lub bez, bałe wszystkich branż, pionów i profesji - galganiarzy, kominiarzy, luminary, prasy, komitetów, licealistów, piękny czas dla doktorów, szafniarzy, kelnerów, sprzedawców baloników i sprzedawców alkoholu państwowej lub też obywatelskiej produkcji.

Wpływ karnawału na życie gospodarcze kraju nie jest dokładnie zbadany, ale z góry wiadomo, że jest to wpływ przemocy. Jeżeli krzywa zjadania śledzi idzie gwałtownie w górę, to jest to niewątpliwie znak ożywienia ekonomicznego, no a krzywa spożycia „strażackiej”, eksportowej, żytniej, bimbru, czy ludowego napoju zwanego koniakem? A krzywa konsumpcji na gorąco za jedyne 300 złotych na głowę? A zużycie rypsu, tafty, koronek, pończoch, szminek, peruk, delikatnej bielizny, butów, mięsa, przypraw, wedlin, noży, widelców i szkl? Krew krąży szybko, jeszcze szybciej pieniądź, który ma to do siebie, że nie wraca do konsumenta karnawałowych uciech. Ale o tym myśli się dopiero w czasie gorzkich żalów.

Wpływ karnawału na życie społeczno-towarzystkie, choć także nie zbadany, jest jeszcze większy. Ludzie gotowi są przebaczyć nawet swoim największym wrogom, jeżeli mogą oni skombinować karty wstępu na bal prasy, sportowców, filmowców, pracowników telewizji i innych bardzo modnych ludzi. Pół królestwa za możliwość stuknięcia się kieliszkiem z kapitanem Klossem, Sowa, albo narodowym kadrowiczem! Tu trzeba wielkiej protekcji, żeby zdobyć stolik w pobliżu śpiewających o kochaniu, który odszedł w siną dal. Chodzi bowiem o naszą wysoką pozycję wobec młodych. Popatrz no, Jasiu, kogo tatuś z mamiusia zapoznali na balu, z kim się bawili, z kim pili, z kim do domu na bańce wrócili.

Jeśli już o to chodzi - młodzież radzi sobie nieźle we własnym zakresie. Przynam, że mnie trochę bawia, słusznie skądinąd i bardzo szlachetne dyskusje prasowe na temat, jak urządzić młodzieży godny naszych czasów karnawał. „Kobieta i życie” twierdzi, że nie trzeba tu wiele: adapter, płyty, jakiś pączek, czy ciastko, oraz szklanka lemoniady, czy nawet wody z sokiem. I już się młodzież świetnie bawi. Skromnie i tanio. W su-

kurs temu stanowisku idą zarządzenia kuratorów, słuszne zresztą, żeby nie pobierać od młodzieży większych opłat na karnawałową zabawę, na sławną studniówkę, niż 50 złotych. Słowa, słowa, słowa.

Jakaś część młodych ludzi „zaprawi się niewąsko” jeszcze przed zabawą, część po szkolnej zabawie, którą nazywają balem u starej ciocie na imieninach. Miejsmy nadzieje, że niewiele. Inni zakładają się - kto prędzej i na dłuższej wyprawy „starych” na karnawałowy szal. Wtedy chata jest wolna i można się trochę pokreć, kreć się więc czarna hostia młodzieżowego świata, nazywana płytą, w głowie też się kręci od kropelki tego, tamtego i jeszcze czegoś.

Przed wszystkim jednak młodzież ulega czarowi, jaki rozciągają starsi. Dziewczyna chce mieć jak mama, najlepsze szpilki, najpiękniejszą bransoletkę i suknie. W szkole mówi się często to samo, co i na klatce schodowej kamienicy - popatrz, jak się ta Kowalska wystroiła, jakie ciuchy wiszą na tym szkielecie, a ja to co? Młoda Kowalska z klasy X, weale nie chce być gorsza niż Kowalska z III piętra. Koszty karnawału rosną, jeszcze jedna krzywa idzie w górę, a z tej góry nie widać owych zalecanych 50 złotych.

Łódź zyska w karnawale dodatkową atrakcję. Oto na łamach „Życia Literackiego” zapowiada do Łodzi swój przyjazd Melchior Wańkiewicz. Zawiadamianie o swoim własnym przyjeździe poprzez lamy pism literackich należy ostatnio do dobrego tonu. Łodźianie, jeśli wierzyć panu Wańkiewiczowi, zarzucają mu, że jest „Kali, totalista, nieetyczny agresor, supersoneczny szpieg, niehumanitarny aneksjonista, genocyda, gurmant atomowy - słowem wstecznik dziewiętnastowieczny, już trup, można powiedzieć, ale jeszcze rozkładający się i zanieczyszczający humanistyczne ciagi tak silnie, że na ulicy Piotrkowskiej czapki zrywa z głowy”. Z tym wiatrem na Piotrkowskiej to się trochę nie zgadza, ale reszta? Zobaczymy, usłyszemy, jak się dostoyny gość wytłumaczy. Będzie ball

Wierbażarskiydy

# TAK SIE ZACZEŁO

W powojennym dwudziestolecu zbudowano w Łodzi 90 tysięcy izb. Licząc po półtorej osoby na izbę — powstało tu całkowicie nowe miasto wielkości Gdyni czy Gliwic, a większe od Sosnowca, Radomia lub Wałbrzycha. Ponieważ nie pojawiło się ono na pustym polu, ale wcisnęło pomiędzy domy i chałupy, pomiędzy (uwaga, akcent polityczny!) relikty niechlubnej przeszłości, ma tu i ówdzie wykład miasta nowoczesnego, gdzieś tam zaś — przycupnęła za wieżowcem ulepiona z cegieł chatka i w przecuciu rychłego zburzenia ogląda się trwoźnie na wsparty o żelbetony drewniany wychodeczek, gdzie indziej żęczy żną w sąsiedztwie międzyblokowej przestrzeni, lub stara czynszówka dymi wszystkimi kominami prosto w okna wycupurzonego bloku.

A zaczęło się to...

## OD CZEGO TO SIĘ ZACZEŁO?

Ze to czas był powojenny, wojsko liczyło się na wagę złota, więc pierwsze osiedle przy ulicy Odrzańskiej przeznaczone było dla wojska. Prawie jednocześnie polatano lub przebudowano to i owo na Stokach, a następnie miasto całe zaczęło się interesować tragiczną, dobrze, że jedyną raną, jaką poniosło w czasie wojny: swoim Starym Miastem. Zima 1945 roku była ciężka, toteż ludność powynosiła z terenu dawnego getta wszystko, co nadawało się na opał, zostały ruiny starych domostw, została pamięć kosztownych lat i zagęszczone mieszkania, zagęszczone wszystkie przestrzenie, dające się podciągnąć pod określenie: dach nad głową. Powołany wtedy do życia Komitet Odbudowy Łodzi uratował, co się dało, reszta poszła na rozbiórkę i w ten sposób stuletnie cegły z domów Starówki spokrewniły się z pierwszymi, nowymi budynkami powojennej Łodzi, tymi wzdłuż Podrzecznej, zdobnymi w malowane fryzy.

A stąd — już blisko na Bałuty, te same, które kiedyś rząd carski przeznaczył na miejsce zamieszkania zwolnionych kryminalistów, które symbolizowały nędzę łódzką, które stworzyły postać „Antka z Bałut”, które każały Tuwimowi uznać się nad „bałuckimi, limfatycznymi dziećmi”. Za wzniesieniem na Bałutach pierwszego zespołu osiedli przemawiały potrzeby, przemawiały względy polityczne i dlatego na Bałutach się zaczęło. Nie szukamy jednak porównań z dniami dzisiejszymi. Urbanisci i architekci, którzy zjawili się w Łodzi, niewiele mieli wówczas pojęcia o planowaniu miasta i to miasto, które miało się stać pięknym z przydekiem. Toteż nie obeszło się czasem bez konsultacji z bardziej doświadczonymi kolegami z Warszawy. Owczesna urbanistyka była jednocześnie szkołą urbanistyki, to wtedy wypracowywano normatywy, będące dziś podstawą projektowania. Dziś wiadomo z góry, ile na danym osiedlu należy zbudować szkół, ile żłobków, sklepów czy pralni, wtedy — sufit był źródłem natchnienia.

Bałuty są — jak powiedziałem — zespołem osiedli. Po prostu ponumerowano je, ale żadne z nich nie otrzymało jeszcze ostatecznego kształtu. A więc osiedle Bałuty I (rejon ulic Wrocławskiej i Gnieźnieńskiej) powstało, kiedy minęła moda „sorealizmu” a nie bardzo wiadomo było, na co sobie w dziedzinie architektury można pozwolić. Osiedle to z trudem się wdarło pomiędzy gęsto stojące stare domy, te stare domy przycupnęły jego bujną młodość i tak zastężyło niewykończony, bez zieleni, aż do dziś. W samym środku — symbol niepowodzeń — ko-

flownia. Wzniesiono ją tak dawno, że data zanika w pamięci, stała dwa lata, bo czegoś brakowało, a ludziom powstawiano węglowe piecyki. Ruszyła wreszcie po to, by po roku zagasnąć, bo elektrociepłownia dotarła do Bałut ze swoim ciepłem. Więc znów stała, grożąc opasłym kominem, aż ostatnio ma stać się siedzibą kina, biblioteką i kulturalnym centrum z... awansu społecznego.

Bałuty II nie wyszły poza sferę marzeń i koncepcji. Bałuty III — to rejon ulic Franciszkańskiej i Bytomskiej znaczny wyniosł i ładnie w teren wkomponowanym „wieżowcem”, czyli wieżowcem projektowanym przez inż. A. Zwierko. To tu — dwa kawalki ulicy Bytomskiej tracą orientację przy zetknięciu z Franciszkańską, tu idzie bój o to, czy zabudować niezdrową dolinę Bałutki, czy też obsadzić ją zielenią — ale tysiące ludzi od lat mieszkają.

Bałuty IV — to rejon Zachodniej. Zagęszczone tu budynki o wiele bardziej niżby sobie architektki i urbanisci życzyli, ale władze administracyjne zawsze szerząc argumentem, że teren uzbrojony, a więc budownictwo tańsze. To, co głównie hamuje rozwój bałuckich osiedli, to konieczność dokonania wyburzeń.

## WYBURZENIA

Urbanisci dzielą się na dwie grupy: litościwych i bezwzględnych. Pierwsi rozstawiają budynki na planie tak, by omijać stojące chałupki, drudzy mają tylko urbanistyczny kształt miasta na względzie. Ponieważ jednak

Przyszli do projektanta mieszkańcy bardzo podłych baraczków z żalem, że bloki zlokalizowano tuż obok i ich baraczkę muszą istnieć dalej. Projektant popatrzył w plan, ale plan zatwierdzony i nie się zrobić nie da. Kiedy jednak zobaczył ich posmutniałe twarze, powiedział: „Niedługo powstanie obok waszych baraczków wielki wykop. Pomódlcie się wtedy o ulewny deszcz, to może się jakoś cud zdarzy”. I rzeczywiście. Przyszła ulewa, baraczkę podmyło i cud się zdarzył.

Albo. Zobaczyła kobietka, że ktoś chodzi po ulicy z planem w ręku, zaczęła prosić, że to choć jej chatka ma tylko jedną izbę, ale ich tylko troje i dobrze im, żeby więc nie wyburzać. Ów człowiek z planem popatrzył — rzeczywiście schludnie i miło, więc przesunął blok troszkę w bok i chatka została. Po dwóch czy trzech latach kobietka przyszła z narzekaniem, że w blokach wszystko mają, a ona ani światła dziennego, ani wody, ani kanalizacji. Więc żeby może zburzyli.

Wyburzenia są o tyle niekorzystne, że wywłaszczonym trzeba dać coś w zamian. Zwykle jednak, jeśli jedno mieszkanie zajmuje kilka niekochających się rodzin, to decyzja o wyburzeniu powoduje rozwikłanie konfliktu, a i to jest przecież rzeczą nie do pogardzenia.

## INNE OSIEDLA

Kończąc się gdzieś w pamięci ludzkiej przedsięwzięcie zwane „Akcją tysiąca izb”. Był to chyba rok 1953, kiedy do Biura Urbani-

potrzeb. I to był początek ośmiolletniego okresu, w ciągu którego budownictwo łódzkie nauczyło się budować metodami, pozwalającymi dziś na oddawanie do użytku 20 tysięcy izb rocznie.

Zaczął się od cegieł i prymitywnych, odziedziczonych po przodkach metod. Przy budowie osiedla Bałuty IV próbowano po raz pierwszy elementów prefabrykowanych. Z jak najgorszym skutkiem! Były to płyty stropowe, które dźwigi unosił i układano je na miejsce. Ostatnie piętro pokryto po staremu, bo nowa metoda była nie do zniesienia. Aż się wierzyć nie chce, jeśli popatrzy na dzisiejsze wielkie płyty i sekcje mieszkaniowe.

Jeden z ciekawszych rozdziałów łódzkiego budownictwa stanowiły przygotowania do zorganizowania „Osiedla Młodych” przy ul. Pojezierskiej, nazywanego czas jakiś „Osiedlem Młodych Kochanek”. Kochankowie nie zawsze byli w wieku stosownym do miłości, że jednak inicjatywa pochodziła od ZMS, nazwę późniejszą można uznać za stosowną. Spółdzielnia powstawała na zasadach tak daleko posuniętej demokracji, że jej członkowie decydowali o szczegółach projektu. Projektanci przeznaczili swoje honoraria projektanckie na udziały w spółdzielni, a później długo na poddaszach czekali na przydział mieszkań. Osiedle powstało zapewne niedoskonałe, ale przecież znów — jakąś część problemu załatwiło.

Cechą charakterystyczną budowy osiedla Rokicie był pośpiech we wznoszeniu budynków mieszkalnych. Dopiero kiedy w ołnach

Osiedle Teofilów powstaje dzięki temu, że w dzielnicy tamtej poczęto lokować przemysł. Skoro doprowadzono dla przemysłu wodę, ciepło, gaz i energię, budownictwo mieszkaniowe mogło rozwijać się tańszym kosztem. I oto tam, gdzie niegdyś ciągnęły się Kały i Łudy Kałowskie, gdzie powstał przed pół wiekiem pierwszy przytułek dla osierociłych chłopców oraz dla upadłych dziewcząt, wyrosły rzędy bloków, wyrosły trzoźliwie, bo Ogrodników tu więcej niż gdzie indziej, a — jak się rzekło — sprawa z nimi niełatwa. Teofilów był terenem interesującej walki o — że tak powiem — standard. Projektanci — nie z własnej inicjatywy — zaproponowali budowę domów bez balkonów oraz kuchni bez okien. Aby taniej. I sami nie byli w stanie nikomu wytłumaczyć, że tak robić nie należy. Zgodnie jednak ze starym przysłowiem, sprawa trafiła do Ligii Kobiet, a kobiety wojnę o balkony wygrały.

W jednej z porad, których celem było ustalenie ostatecznego kształtu osiedla, zwanego „Wierzbowa”, wziął udział wojujący ateista, dla którego najważniejszym problemem urbanistycznym było ukrycie za domami kościoła św. Teresy przy ul. Nowotki. Dziś kościół ten stanowi fragment niewykończonego, ale interesująco zapowiadającego się ronda. Inne części osiedla różnią się znacznie od innych osiedli, budynki stoją bowiem w sposób przypominający raczej Łódź starą.

Jednym z większych osiedli jest Żubardz, stanowiący swojego rodzaju pole doświadczalne dla nowych metod budownictwa. Mieszkańcy początkowo cierpieli na tym. Dość wspomnieć jedno z niedawnych, ulewnych lat, kiedy żyrandole w mieszkaniach Żubardzia zamieniły się w natryski. Nie od razu nauczono się właściwie spajać wielkie bloki. Ale dziś się już umie.

Na drżących i trocinach kunitzerowskiego Widzewa wyrosło nowe osiedle, niesłychanie ciekawe socjologicznie. Mieszkańcy starych domków nie chcieli opuszczać tej dzielnicy, ci zaś, którzy zostali, gospodarzą się w blokach jak przedtem w chałupkach, zakładają te swoje ogródki działkowe choćby w kolorowych skrzynkach za oknami i pieczą wicie pięt trawniki. Gdzie tam porównywać kunitzerowską kolonię z tymi blokami. Ale — czy mądrze zrobiono, że właśnie tu? — Przecież wiskoza cuchnie. Więc skoro osiedle powstało, trzeba coś zrobić z wiskozą.

Wszystkich osiedli jest w Łodzi ponad dwadzieścia, a są też takie, które istnieją jeszcze tylko w zamysłach projektantów.

## DZIS

Dziś umiemy projektować i budować. Osiedla dzielą się na jednostki związane z usługami. Podstawową jednostką jest szkoła i gromadzi ona wokół siebie tyle budynków, w ilu mieszka podzielony do niej komplet dzieci. A dzieci te chodzą do szkoły takimi drogami, na których nie ma ruchu kołowego i obok mają plac zabaw i kępę zieleni.

Koncepcje większości wymienionych tu i nie wymienionych osiedli powstały w łódzkim „Miaścieprojekcie” i zadaszając dwudziestolecie budownictwa łódzkiego, nie mógłbym nie powstawić do poszczególnych, ukwieconych po widzewsku okienek choćby niektórych projektantów, choćby tych tylko, którym zawdzięczałem wiedzę o przedmiocie. A więc inżynierowie: Krygierowa — w Teofilowie, Lenczewska — na Widzewie, Furmanek — na Dołach, Jakóbczak — w Rokiciu, Pietrzyński — na Kuraku i Wierzbowej, Stanisławski — na Pojezierskiej, Tatariewicz — na Dąbrowie, Walter — na Zarzewie. Liście w rzeczywistości — o wiele większa. Tym bardziej, że powołanie do życia osiedla, to wynik współpracy olbrzymiego zespołu fachowców. Osiedle — to nie tylko budynki, to również ich oświetlenie, ogrzanie, gaz do nich doprowadzony, drzewa stare i młode, place zabaw i śmietniki, ulice i woda do ich polewania. Każdy z wymienionych elementów — to odrębny problem, a o kolizje nie trudno...



...gdzieniegdzie zaś — przycupnęła za wieżowcem — ulepiona z cegieł chatka...

decyzje o wyburzeniach przechodzą przez wiele instancji, życie narzuca kompromisy. Z kolei właściciele przeznaczonych do wyburzeń budynków dzielą się na zwyczajnych i Ogrodników. Z pierwszymi — pół biedy. Drudzy, że to kalafior i goździk — rzeczy łatwe, potrafią interweniować w instancjach zlokalizowanych bardzo wysoko. Gdyby czytelnik pozwolił mi na dokonanie jeszcze jednego podziału, to podzieliłbym właścicieli zwyczajnych na mających wyobraźnię i wyobraźni pozbawionych. Pierwsi korzystają z propozycji zamiany na inną działkę, albo na mieszkanie zastępcze, drudzy pragną dożyć starości we własnej chatce i dopiero kiedy ich otacza niebotyczne ściany a sąsiedzi z bloków patrzą z ponad ciepłych (czasami niedogranych) kaloryferów, to zaczyna się bieganie i próśby o wyburzenie.

W praktyce sprawy te wyglądają tak:

stycznego przyszedł ówczesny przewodniczący Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi, Gieraga, tupnął nogą i zażądał tysiąca izb. W ramach tej akcji powstało osiedle przy ul. Obywatelskiej. Była to jednak kropla w morzu potrzeb, a w roku 1957 w gmachu Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi rozegrała się następująca scena. Zastępca przewodniczącego, Wróblewski próbował porozumieć się z grupą robotników domagających się mieszkań. Bez powodzenia. W pewnej chwili wszedł do gabinetu przewodniczącego, upadł na krzesło ze słowami: „Idź ty tam, ja już nie mogę...”. Kiedy przew. Kaźmierczak stanął wobec robotników, podniósł się krzyk. „Nie krzyczcie, bo ja też jestem człowiekiem, a poza tym reprezentuję władzę w tym mieście. O co chodzi?”. Pojechał z nim do zamieszkałych przez nich baraków. W ścianach były szpary, przez które przechodziła dłoń. Wybrali komitet dla ustalenia kolejności

zamajaczyły firanki, a lokatorki z pustymi koszykami zaczęły się rozglądać, gdzie tu sklep, a dzieciaki zateskniły za żłobkiem, przedszkolem i szkołą, wtedy dopiero wzięto się za uzupełnianie braków i dziś — rzecz można — ich nie ma.

Bardzo ciekawym tworem urbanistycznym jest osiedle Doły. Realizuje się ono około 10 lat i jeśli się przyjrzy poszczególnym jego częściom, można w nich wykręcić ślady ideologicznych nawarstwień od bojów z socrealizmem po dzisiejsze poglądy na budownictwo i architekturę. Dziś jest to osiedle, którego realizacja dobiega końca. Znaczną jego część jest zagospodarowana przez Spółdzielnię „Lokator”, a zważywszy usytuowanie przy wlocie do miasta od strony Warszawy — stanowi dzielnicę w znacznej mierze reprezentacyjną. Dom Społeczny, który Spółdzielnia ma wnieść w najbliższych latach, będzie chyba ostatnią budową osiedla.

# Moje SPOTKANIA Z Łodzią

Dalszy ciąg ze str. 1

administracyjnie. Jest w tym coś paradoksalnego: robotnicze miasto, posiadające teatry, kluby, sale odczytowe, prowadzące wystawy i koncerty, pozabawia tego wszystkiego mieszkańców dalekich — i zresztą nie tylko dalekich — przedmieść. Właśnie owych dzielnic robotniczych. Na dalekie Bałuty nie tak łatwo wrócić późnym wieczorem. Nie ma czym. Niewątpliwie więc trzeba dostosować odpowiednio komunikację miejską. Ale myślę, że nie tylko o to chodzi. Znacznie poważniejsze jest to, że w Łodzi nie prowadzi się systematycznej pracy kulturalno-oświatowej z mieszkańcami przedmieść. A odbiorca tam chłonny. Sam mogłem się o tym przekonać. Jest tak i na Bałutach, i na Chojnach, jest tak wszędzie.

Z moich obserwacji wynika, że sprawy upowszechnienia kultury wymagają w Łodzi pilnego załatwienia. Wymagają opracowania sensownego systemu. Nie może być taka sytuacja, w której w obrębie ulicy Piotrkowskiej znajduje się 10 kin, a na Bałutach jeszcze do niedawna było... jedno. Łódź — jak wykazują moje obserwacje — stanowi trzy duże niezintegrowane środowiska: pierwsze — robotnicy (stara klasa robotnicza), drugie — chłopcy z podlódzkich wsi, którzy zaledwie od paru lat są robotnikami, trzecie — inteligencja. Główny problem w sensie upowszechnienia kultury stanowią, oczywiście, ci chłopcy wczorajsi. Rozwiązanie tego problemu nie jest rzecz prosta, takie sobie łatwe. Można to skonstatować, również na przykładach innych województw, innych wielkich miast polskich. Ale są też typowo łódzkie przeszkody, które trzeba po prostu usunąć. Przede wszystkim inteligencja łódzka winna wyjść z getta. Powtarzam raz jeszcze: tu, w tym uroczym mieście, centrum nie ma żadnych związków z przed-

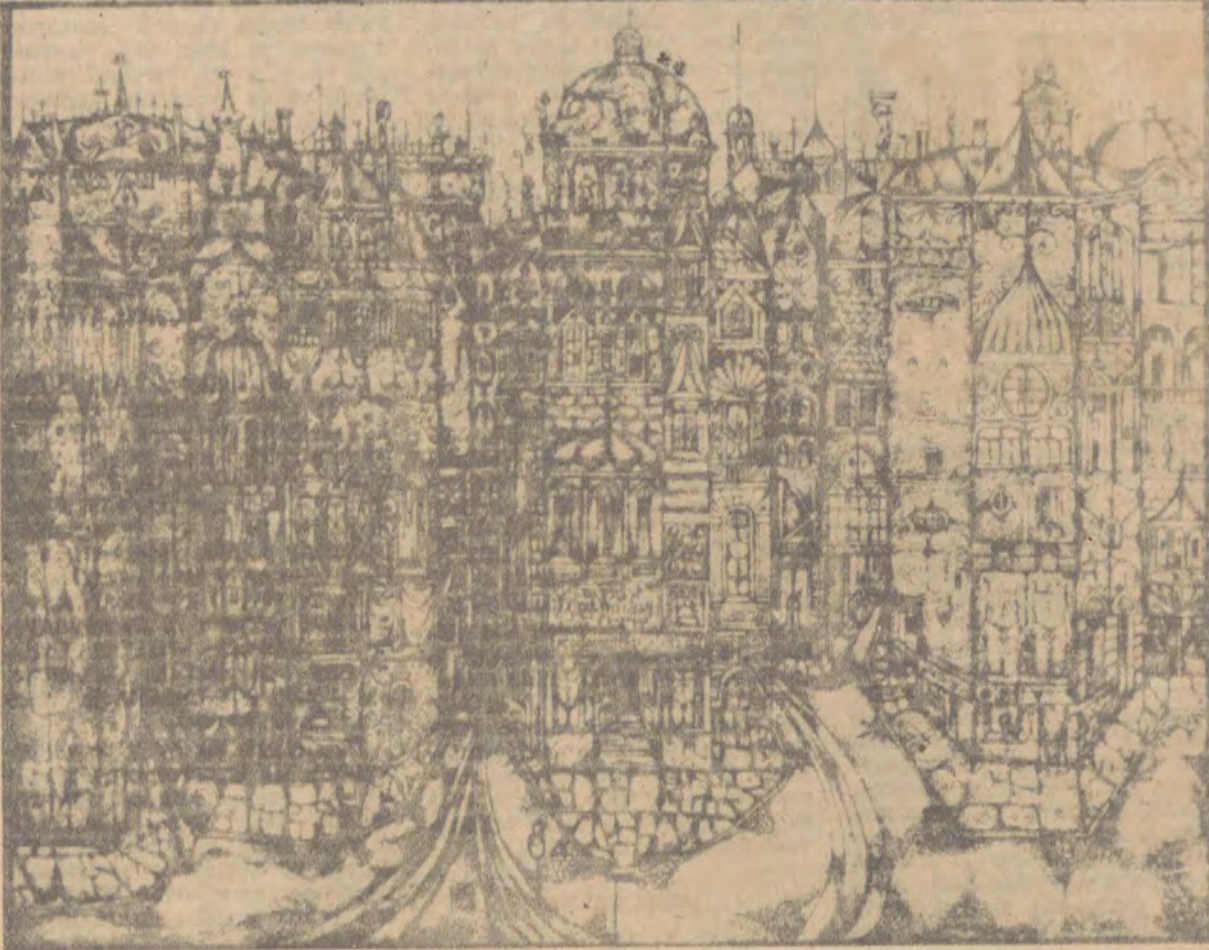
mieściami. Na przedmieściach nie ma instytucji kulturalnych.

Łódź ma pisarzy i aktorów, malarzy i dziennikarzy. Łódź potrzebuje natomiast szeregowych pracowników aparatu upowszechnienia kultury, którzy by zawsze pamiętali i o twórcach, i o odbiorcach. Którzy by zwłaszcza pamiętali zawsze o dalekich przedmieściach.

A więc ulica Piotrkowska! Otoczona teatrami i w ogóle życiem kulturalnym, a równocześnie otoczona legendą wśród mieszkańców podlódzkich miejscowości, przybywających na ulicę Piotrkowską, by zrobić atrakcyjne zakupy, wypić kawę w kawiarni Grand Hotelu, może nawet zjeść obiad w Malinowej sali, słowem zażyć wielkomiejskiej uciechy. Mieszkańcy Łodzi rozumieją, że dla obywatela Sieradza jest to w samej rzeczy przeżycie, sami natomiast — chodząc po tej swojej pryncypalnej arterii — wzruszają ramionami, wydymając z wyższością wargi. Dla nich Piotrkowska to jest bynajmniej wielkomiejską ulicą. Oni przy małej czarnej kawie lubią opowiadać o tym, co nowego w Warszawie. Oj, ludzie, ludzie! Pozwólcie, że Wam — mieszkańcy Warszawy — opowiem, co o tym sądzę. Bywam w Waszym mieście co jakiś czas, powiedziałbym: regularnie i czynię to dlatego, że stanowi to moja wewnętrzna potrzeba. Kiedyś powiedziano, że jednym z nieszczęść Polaków jest ich snobizm. I to się, niestety, sprawdza. Jeśli łodzianom nie podoba się ulica Piotrkowska, to — wybaczenie mi moi mili — jest to nierzadko dowód zwykłego snobizmu. Dlaczego? Opowiem.

Kiedy przed dwudziestoma laty zaczynaliśmy dźwigać nasze zniszczone miasta, nadawaliśmy im kształt architektoniczny i nawet urbanistyczny taki, jaki proponowała aktualna epoka. Chodzi mi o naturalnie o epokę w sensie zarówno polityczno-ideowym jak estetycznym i także ekonomicznym. Poszczególne lata znaczyły się na kształcie budynków i na kształcie miast. Różne dzielnice odbudowanej Warszawy są do siebie jak wiadomo zupełnie niepodobne. Może to zresztą i lepiej, unikaliśmy dzięki temu monotoni w zabudowie.

Ale cokolwiek by o tym wszystkim powiedzieć, jedno pozostaje pewne: większość naszych wielkich miast to miasta nowoczesne, nierzadko w tradycyjnym sensie słowa zdeurbanizowane, o parterach zagospodarowanych nie tak zacieśnionych i przytulnie jak to drzewiej bywało. Pozostają nam Łódź! Tak, właśnie Łódź, ze swoją ściśle zabudowaną ulicą Piotrkowską, z dziewiętnastowiecznymi fasadami, tak żywo przypominającymi Budapeszt, a może nawet... Wiedeń, z frontem Grand Hotelu. Dla



Pejzaż Łódzki

Leszek Różga

ich, którzy szukają śladów przeszłości, jest tu żywy, świetny materiał. Jest w tym tradycja i są w tym smaczki. Tak naprawdę to wszyscy te rzeczy lubimy. Wszyscy do nich tęsknimy i dlatego, że tego już prawie nigdzie nie ma, i dlatego, że w powodzi tzw. nowoczesności wczorajsi i przedwczorajsi kształt wyglądają po prostu świeżo, inaczej.

Gdy idę ulicą Piotrkowską, wydaje mi się, że nie było w mojej Ojczyźnie zniszczeń, że nie było straszliwej wojny i nieludzkiej okupacji. Gdy idę ulicą Piotrkowską, jest mi dobrze i miło, jest mi swojsko, a przy tym wielkomiejsko. Na ulicy Piotrkowskiej nowoczesność jest wyborem, nie zaś koniecznością. Wnętrza sklepów na ulicy Piotrkowskiej nie są wielkie i nie są załudnione, jak np. niektóre wnętrza sklepów na MDM. Są one natomiast unowocześnione o tyle, o ile jest to potrzebne dla estetyki i wygody. W tym miejscu kilka słów o wystawach. Nie jest tajemnicą, że wystawy warszawskich stołecznych sklepów są po prostu ładne. Jest to problem par excellence kulturalny. Brzydkie wystawy upowszechniają wśród najszerszych warstw społeczeństwa najwzrostającą w świecie tandetę. Niewiele pomogą akcje Instytutu Wzornictwa Przemysłowego, jeśli tzw. zwyczajny obywatel miłośnik będzie okna wystawowe z kawałkiem zeschniętej książki i sześciennym wieprzowego smalcu. I właśnie wydaje mi się, że pod tym względem nie jest wzdłuż ulicy

Piotrkowskiej najgorzej. Wystawy są mniej okazałe, ale za to miłe. I są przede wszystkim jakieś bardzo adekwatne do wyglądu całej ulicy, owej zabawnie ozdobionej dziewiętnastowiecznej fasady.

Jest aż nadto wiele elementów w wyglądzie Łodzi, w codziennym życiu tego miasta, by można było śmiało powiedzieć, iż miasto to ma swój charakter, swój nastrój, swój zapach i swój smak. Jest ono z tym wszystkim niepodobne do innych miast polskich i w tym jego niepowtarzalny urok. Jest miastem wysoce uprzemysłowym, ale przecież nie jest podobne do Katowic. Jest miastem nauki, ale przecież nie jest podobne do Krakowa. Jest miastem handlu, ale przecież jest inne niż Poznań. W takim mieście, posiadającym własny kształt, można czuć się najlepiej.

Podróże po kraju wchodzą w skład moich obowiązków służbowych. We wszystkich miastach, które odwiedzam, słyszę: „tu u nas dziura, prowincja. Trudno coś ciekawego zrobić”. Podobne głosy rozlegają się w środowisku twórczym Łodzi. Jest w tym, oczywiście, sporo malkontentstwa, bo przecież sukcesy pisarzy łódzkich i teatrów łódzkich dowodzą, że sytuacja jest jednak inna. Ale prawdą też jest, że łódzkie środowisko twórcze mogłoby działać o wiele więcej, gdyby jego młodzi przedstawiciele czuli się bardziej patriotami tego miłego miasta. Bliżsokształć powołanie, że można sobie wyjechać na przedstawienia „Tanga” po połud-

niu i wrócić jeszcze o północy do domu. Dodajmy do tego nieuzasadnioną pretensję o to, że Łódź roku 1963-66 odgrywa w życiu kulturalnym kraju rolę mimo wszystko mniejszą niż odgrywała Łódź 1945-46. Pretensje do kogo?

Nie mam zamiaru oczywiście, upraszać. Nie jedynie to przyczyniło się do wykształcenia możliwości własnego ośrodka przez łódzkie środowisko twórcze. Wydaje mi się, że warto, aby nad sprawami tymi roztoczyła się dyskusja w „Odgłosach”. Być może odgłosy tej dyskusji dotrą do tych, do których będzie ona adresowana. Wydaje mi się ponad wszelką wątpliwość, że Łódź jest godna tego, by w życiu kulturalnym Polski odgrywać jeszcze większą rolę niż „śię dzieje obecnie. Chodzi po prostu o to, by w Łodzi powstawały określone ważne i najważniejsze wydarzenia kulturalne, które ruszą w świat. By właśnie tu inicjowano ważne i najważniejsze dyskusje, by proponowano nowe kształty. Powie ktoś, nie rozumiejąc, o co chodzi: „z Łodzi wychodzą filmy, z Łodzi wychodzą książki”. Ależ tak! Tylko mnie chodzi tu o własne inicjatywy środowiska łódzkiego. Może o klub, w którym byłoby pilkownie w najlepszym sensie tego słowa? Może o coś innego?

Łódź jest miastem, do którego zawsze wracam z ochotą i wzruszeniem. Jest miła i swojska. Jest jedyna w swoim rodzaju. Jest znana. Warto, by była sławna.

BOLESŁAW BARTOSZEWICZ



A. Chaczaturian w rozmowie ze St. Marczykiem. Fot.: G. Puciato

## UWERTURA PATETYCZNA

Dalszy ciąg ze str. 1

dyrygent tej miary co Teodor Ryder, Neumar, Abendroth, Pietro Mascagni, Głazunow, Johann Strauss (wnuk), Berdja Jew, Fitelberg i inni. W styczniu 1927 r., IV koncert fortepianowy Beethovena wykonał z ŁOF znakomity już wówczas Artur Rubinstejn...

Ludzie o słych włosach pamięć, choćby pan Karol Zelazo (skrzypek grający w zespole Filharmonii Łódzkiej od początku jej istnienia) czy pierwszy kierownik orkiestry — Tadeusz Mazurkiewicz — znają Rubinsteina także z okresu wcześniejszego, gdy ja-

ko młody człowiek przychodził na próby i występy słuchać, czasem grać. Po latach, wędrując łodzianin Artur Rubinstejn podczas swego występu dnia 16 lutego 1960 roku ofiarował Filharmonii Łódzkiej taką dedykację: „Dzięki dla Filharmonii Łódzkiej za głębokie wzruszenie, którego doznałem na swoim koncercie w starej kochanej sali, w której usłyszałem pierwsze dźwięki muzyczne mego życia”.

Ludzie o słych włosach pamięć, choćby pan Karol Zelazo (skrzypek grający w zespole Filharmonii Łódzkiej od początku jej istnienia) czy pierwszy kierownik orkiestry — Tadeusz Mazurkiewicz — znają Rubinsteina także z okresu wcześniejszego, gdy ja-

latach 1915-17 Klecki był skrzypkiem w Łódzkiej Orkiestrze Symfonicznej i grał obok nestora łódzkich instrumentalistów — pana Karola Zelazo.

Tak rodziły się tradycje muzyczne robotniczego miasta. Wbrew okresowym niepowodzeniom — powiększał się ustawicznie skład orkiestry, rozszerzał repertuar. Obok klasyki i najwybitniejszych obcych kompozytorów współczesnych — Łódzka Orkiestra Filharmoniczna sięgała już u początku istnienia po utwory rodzime. Brała Karłowicza, Szymanowskiego, Noskowskiego, Młynarskiego.

Było tak aż do wybuchu wojny. Potem muzyka polska zeszła do podziemi, orkiestrę rozwiązano i w sali przy ul. Dzielnej rozsiadł się muzyk niemiecki.

2. Szukali się po wyzwoleniu. Wielu z nich znalazło śmierć w gettach i obozach. O wielu zaginał wszelki ślad — nie wiadomo: zabił, czy żyją?...

Ze starej, sześćdziesięciosobowej orkiestry, tylko jeden — wzięto udział w pierwszym powojennym koncercie z okazji powołania władz miasta Łódź. Było to w ostatniej dekadzie stycznia 1945 roku. Trzydziestoosobowa orkiestra dyrygowana skrzypką — Bronisław Ligęza.

W lutym 1945 roku przybył Zdzisław Górzynski, któremu powierzono organizację i kierownictwo Łódzkiej Filharmonii. Pierwszy koncert symfoniczny pod tą brzołą odbył się już w czerwcu tego roku w sali kina „Etyk”.

W 1948 roku, w dawnej siedzibie przy ul. Narutowicza, rozpoczęła się cykl stałych koncertów, które trwają do dnia dzisiejszego. Sytuacja łódzkiej muzyki poprawia się teraz z tygodnioma na tydzień. Państwowe Szkoły Muzyczne otwierają klasę instrumentów dętych, dostarczając stopniowo orkiestrze puźonistów, walturnistów i trębaczy, o których przed wojną, z uwagi na strukturę prywatnego szkolnictwa muzycznego (uczono najczęściej gry na fortepianie i skrzypkach) było bardzo trudno. Filharmonia zaczyna także współpracę z chórem mieszanym niedawno powstałej Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej, co pozwala na wykonanie dzieł oratoryjnych. W marcu 1951 roku nowy kierownik artystyczny, Bohdan Wodiczko, prowadził pierwsze po wojnie wykonanie „Harmonii” Karola Szymanowskiego. Następca Wodiczki — Witold Krzemiński — sięga po utwory operowe i prezentuje je na filharmonicznej





# 40-lecie pracy naukowej STEFANII SKWARCZYŃSKIEJ



wala zawiesić zajęć, nie pozwala wykorzystać tak wielce zasłużonego wypoczynku; wszechstronna aktywność badacza, widoczna w uprawianiu równoległe kilku dyscyplin (teoria literatury, teatrologia, historia literatury, prace edytorskie i redakcyjne - jest naczelnym redaktorem kilkunastoletniego czasopiśmi „Zagadnienia Rodzajów Literackich”) i umożliwiająca dociekanie najnowszych rezultatów innych jeszcze gałęzi wiedzy i nauki; żarliwe poszukiwanie prawdy naukowej i prawdy w ogóle, z czego wynika kult dla faktu i argumentu, a stąd się wywodzi przykładowa tolerancyjność dla cudzych, czasem obcych przekonań i poglądów.

Wreszcie niezwykła troska o rozwój naukowy młodych, troska, która zdobyła już sobie sławę w całym kraju, potwierdzona m.in. dwudziestką przeprowadzonych doktoratów i kilkoma wydanymi książkami, co w Niemczech stopniem stało się za Jej interwencją. Ale troska ta obejmuje znacznie szerszą domenę, dotyczy już spraw całkiem osobistych: na Jej ręce napływały listy studentów i absolwentów, proszących o pomoc, o radę, o dobre słowo otuchy.

WANDA LIPIEC

## W PRZEDWOJENNEJ ŁODZI

Dlaczego wybieramy ten, a nie inny fragment z życia Stefania Skwarczyńskiej w Jej roku jubileuszowym, gdy obchodzimy 40-lecie Jej pracy naukowej? Czy tylko, aby pofolgować wspomnieniom i utrwalić obraz Jej młodości? Jej biografia zapisała się już głęboko w pamięci Jej uczniów i uczennic. Jej prace, na które złożyło się kilkanaście pozycji bibliograficznych stanowią niezniszczalny dowód Jej twórczej żywotności, ciągłego i trwałego postępu Jej badań, wyznaczających i torujących drogę polskiej nauce o literaturze, Skala tych badań przekroczyła daleko granice polskich katedr uniwersyteckich. Prace Jej mają swą rangę światową, a poprzez zainicjowanie przez nią wieloletnie pismo - ZAGADNIENIA RODZAJÓW LITERACKICH - również swą wymowę międzynarodową. Na łamach te-

topogładu. Piękny przykład dla Jej uczennic i kolegów!

Podobnie jak dziś, w innej oczywiście skali i wymiarach wychowywała i uczyła równocześnie. Nigdy nie odzierała nauki od szkoły uczuć i charakteru. Tej dawnej łódzkiej szkole, poświęconej pamięci E. Orzeszkowej, oddawała cześć swą ogromną wiedzą i bogaty zasób metod naukowo-wychowawczych. Podobnie jak dziś umiała stworzyć na UL Zakład Nauki o Literaturze, który jest jednocześnie szkołą dobrych obywateli - tak i dawniej, w zapamiętanej, niestety, ale też nie byle jakiej szkole uczyła i wychowywała. Miała swe własne metody! Stworzyła dwie ciekawe pracownie: pracownię literatury i języka polskiego oraz pracownię filologii klasycznej. Ta druga powstała przy współpracy przedwojennej zmarłego prof. UW - Zdzisława Zmigrydera, znakomitego uczonego i pedagoga. Obie te pracownie były miejscem pracy pedagogicznej Stefania Skwarczyńskiej i Jej uczennic. Tu nie tylko przeżywało się poezję i urok wykładów ulubionej w szkole nauczycielki, obowiązywała tu surowa dyscyplina, cierpliwe, samodzielne przodzieranie się przez tekst, operowanie logicznymi dowodami. Wspaniała gimnastyka dla humanistycznych umysłów! Nie odstraszało to entuzjastek wykładów ukochanej nauczycielki, prześcigały się w gromadzeniu źródeł, materiałów, bibliografii! Ich zeszyty stały się wzorem prowadzenia zajęć dla nauczycieli innych szkół i skarbem dla przedmaturalnych powtórek.

Po prostu dlatego, że spotykamy się tu z ciekawym zjawiskiem analogii. Te cechy postawy twórczej uczonego, które rozwija Stefania Skwarczyńska w swym Zakładzie i zawsze otwartym dla młodzieży domu, te charakterystyczne cechy Jej umysłu i osobowości przywiozła Stefania Skwarczyńska ze sobą do Łodzi już w roku 1932, gdy pojawiła się tu po raz pierwszy! Natychmiast oczarowała wszystkich, a przede wszystkim swoje koleżanki i koleżanki, swym wykształceniem, kulturą, wdziękiem i urodą. Była to uroda niezwykła: rasowa i szlachetna, klasyczna i nowoczesna zarazem. „Primaavera Boticellego” - mówił znawca. Szerokie było koło Jej wielbicieli i wiwatów, tak po cichu - wszyscy się w niej podkochiwali! Obiekt był niezwykle trudny! Powaga i rzeczowość uczonego w połączeniu z niezwykłą kobiecą miękkością i wdziękiem! Było to zjawisko szczególne, zwłaszcza na tle brzydkiej, ponurej Łodzi. Ale Stefania Skwarczyńska przylgnęła od razu do tego dziwnego miasta.

Umiiała przyzwyczaić się do Jej szpetnych ulic, ponurych domów, zadymionych fasad fabrycznych i szarego nieba - do wdzięku jeszcze „złego miasta” z 1932 r.

Umiiała się nie tylko przyzwyczaić ale i przywiązać. A ponieważ nie robiła sobie z łowienia, poświęcała mu swą pracę i stała mu się wierna. Wierność - to znaczy - nigdy nie zdradziła! Tutaj, w brzydkiej Łodzi założyła pod walny pięknej, młodej jeszcze wówczas dyscypliny naukowej - teorii literatury! Katedry takiej nie było w żadnym z ówczesnych uniwersytetów, podwaliny jej powstawały w Łodzi, w żmudnym trudzie Jej ówczesnej bojowniczkii!

Tutaj bowiem, w paradoksalnej niemal sytuacji, w mieście pozbawionym naukowych bibliotek - przygotowywała młodzieźka doktor Stefania Skwarczyńska swą pracę habilitacyjną i uzyskiwała w roku 1937 doktorat przy Uniwersytecie im. Jana Kazimierza we Lwowie. Od tej pory aż do roku 1939 dojeżdżała tam na wykłady! Tutaj również w latach 1932-39 powstało szereg studiów i rozpraw torujących drogę tej młodej jeszcze wówczas dyscyplinie naukowej. Dzisiaj, po latach blisko 30, zadziwiają one swą badawczą przenikliwością i głębokim zrozumieniem praw historycznego postępu i rozwoju.

Czy jednakże praca naukowa była jedyną domeną działalności Stefania Skwarczyńskiej w Łodzi w latach 30? Bynajmniej! Jej pracą zasadniczą była praca nauczycielska. Doktorat nie oznaczał wówczas prostej drogi do Katedry Uniwersyteckiej! Wykładała w Gim. im. Elżbiety Orzeszkowej historię literatury polskiej i oddała się, jak to się mówi, całą duszą swoim uczniom, koleżankom i kolegom. Czas w jej rękach dziwnie się rozciągał, już wtedy umiała nad nim całkowicie panować, starczyło go zawsze dla wszystkich i na wszystko - z zabawą i rozrywkami włącznie. Gdyż wesoła i pogodna była to kobieta!

Tak jak na wszystko starczyło czasu, tak i na wszystko starczyło odwagi!

Odrzucała i odpierała wszelkie koniunkturalne „ozonowskie” czy endeckie zakusy na jej osobę. Uczyla w gimnazjum o bardzo przemieszonym składzie narodowościowym i wyznaniowym, a czasami nie były łatwe, zwłaszcza dla Stefania Skwarczyńskiej, żony dyplomowanego pułkownika WP, pracownika DOK, którego szczęśliwy dla nas los rzucił do Łodzi. Wymagało to silnego charakteru i mocnego, zdecydowanego światła.

STANISŁAW KASZYŃSKI

## „NASZA” PANI PROFESOR

Sięgnę najpierw pamięcią do jesieni 1948 roku, do czasu, kiedy to z dumą obnosiłem białą akademicką czapkę i diagle, ukradkiem, spodzieralem w nieobeszchy jeszcze indeks. Chodziło się o to, że na mnóstwo zajęć uniwersyteckich, co najmniej 25-30 godzin tygodniowo wykładów, trzeba jednak powiedzieć, że na wykłady Pani Profesor zbiegaliśmy się wyjątkowo ochoczo, sala na III p. budynku przy ul. Lindleya 3 była zawsze wypelniona po brzegi. Nie sądzę, by nas wtedy szczególnie żywo interesowała teoria literatury, chodziliśmy się wówczas bardziej „na profesora”, tak jak to chodziło się, obecnie coraz rzadziej, „na aktora” do teatru. Ja miałem swój bardzo osobisty powód, aby uczyć się na Jej wykładach z przykłądną wprost pilnością. Otóż rok wcześniej, przygotowując się do egzaminu maturalnego, przyjechałem z Rudy Pabianickiej na odczyt Stefania Skwarczyńskiej o twórczości Mickiewicza. Pamiętam, przepięknie przystępowała próg sali (Narutowicza 68) diabło speszony, onieśmielony, z tęgą tremą. Wyszliśmy z sali - ośmielony i rozpromieniony wymowa, erudycja, jakimś niepokojącym zapławnym patosem, wszystko do oszłomilo mnie zupełnie, do reszty podbił mnie, zawołał urok osobisty, niespotykany wdziek. Znakomitej Prelegentki. Wiedziałem już, że będę studiował polonistykę, czekałem potem z niecierpliwością na rozpoczęcie roku. Gdy teraz próbuję określić moje pierwsze wrażenia, doznane tyle lat temu, w ciągu tych zdalnych spotkań Profesora ze studentem, to było w tym coś z Wielkiego Onieśmielenia, połączonego z Podziwem, z Szacunkiem, ze Czołganiem, z Szczęściem, z Czołganiem, po kilkunastu latach, po przejściu wielu stopni od studenta do Jej asystenta i ucznia, odczuwam to same uczucia, odnajduję w sobie identyczne składniki. Wiem doskonale, że mi wszyscy z Katedry, młodzi i starsi, przeżywamy na co dzień w stosunku do „Naszej” Pani Profesor tożsame emocje. I wiem nadto, iż najmłodszy, ci, co przybywają na polonistykę, zwracają się z podobnych doznań.

Wreszcie niezwykła troska o rozwój naukowy młodych, troska, która zdobyła już sobie sławę w całym kraju, potwierdzona m.in. dwudziestką przeprowadzonych doktoratów i kilkoma wydanymi książkami, co w Niemczech stopniem stało się za Jej interwencją. Ale troska ta obejmuje znacznie szerszą domenę, dotyczy już spraw całkiem osobistych: na Jej ręce napływały listy studentów i absolwentów, proszących o pomoc, o radę, o dobre słowo otuchy.

zreniu na Kreślenie sylwetki uczonego, nauczyciela, wychowawcy, społecznika, zabraknie tutaj z oczywistych względów oceny Jej wielkich zasług i osiągnięć, uzyskanych na terenie licznych dyscyplin naukowych, nie będzie i analiza szkoły naukowej Stefania Skwarczyńskiej. Wszystko to pomijam, w koniecznym skrócie przedstawi i zwerifikuje ten dorobek uroczystość jubileuszowa, ciekawo tych spraw znajdzie odpowiedni materiał wyjaśniający w XX serii „Prac Polonistycznych”, dedykowanych Jubilatce, zredagowaną przez Profesora, zredagowaną przez Profesora, zredagowaną przez Profesora.

Dzisiejszy Jubileusz, będący świętem całej polskiej humanistyki, jest także podniosłym świętem Katedry Teorii Literatury, którą Stefania Skwarczyńska prowadzi od wielu lat. Nie przystoi zdradzać tajemnic, niechże mi jednak będzie darowane, że odkryję chociaż niektóre z nich. Zespół naukowy bywa z reguły zgromadzeniem ludzi, zebranych na zasadzie wspólnych zainteresowań naukowych. Poza organizacyjnymi i technicznymi, istnieją niewątpliwie dodatkowe czynniki sprzyjające ów kolektyw, najważniejszym z nich, jak się zdaje, jest autorytet naukowy i moralny kierownika. Tenże winien być prawdziwym uczonym i prawdziwym człowiekiem. Gdy spełnione są te dwa warunki powstaje dopiero atmosfera niezakłóconej twórczej pracy, która jest zarazem atmosferą solidarności, zaufania, osobistej i społecznej prawości. Nie waham się wstawić: i serdeczności. I jeżeli wolno określić mianem „naukowej rodziny” na takich trybach funkcjonujący zespół, chcemy się tak nazywać, ba, tek się ze swoistą ciepłością nazywamy. I już zapewne nie trzeba orzekać, kto kieruje tak pojmnowanym życiem, kto wypełnia jego treść, kształtuje normy postępowania, kto ustala najwyższe wskaźniki wydajności naukowej, kto troszczy się o wszystko, inspirowuje, uczy, wychowuje... Orzeczenia można by mnożyć, przypuszczam, że i tak nie wyczerpałoby skali wszechstronnej działalności Pani Profesor. Rozwiniemy przeto przynajmniej kilka. Węz: narzucony sobie na przekór rozmaitym przeszkodom i słabostom fizycznym żelazny, imponujący wszystkim rygor pracy, który, wynikający z poczucia obowiązku i odpowiedzialności społecznej, nie pozwala odejść od biurka, nie poz-

MARIAN PIECHAL

## Do Stefania Skwarczyńskiej

A Pani coś ja powiem? Słowo nasze ma sens tylko na wysokości serca z ograniczoną ilością uderzeń. Dar rąk? Ręce nasze, ręce pokątnych makbetów, nazbyt wiele popłynęły zbrodni, by mogły świadczyć Prawdę. Wróćmy do instrykcji bardziej szczerych stóp. Widzę je w tatużu ludzkich niepokoju rezbijących ziemski glob, na jego strzępach ślady umęczonych stóp Pawła z Tarsu, na białych kartach Syberii, tej biblii śniegów, święte pismo kroków nieszczęśliwych pokoleń, w nim skrypt śladów mego ojca skrzyżowany, był może, z Twoim, Pani. Tam bliższa gwiazdy łzami mojej matki zmieszana, był może, z Twoimi, Pani. Trzeba tylko wybrać ten punkt widzenia, co ziarno piasku zrównywa z planetą, wtedy widoczne są te łyzy na niebie i te na ziemi skrypty. Ty w nich czytaasz Prawdę, która wiedzie nieomylnie do człowieka jak do czystego źródła.



A zaufanie to jest świadectwem najlepszym zaspokojonych oczekiwań ludzi, którzy szukają u Pani Profesor nie tylko rozwiązań problemów naukowych, lecz i wiary w kwestii wybiegających poza program dydaktyczny i naukowy pracownia uczelni.

Przypuszczalnie bywa tak dlatego, iż Stefania Skwarczyńska, reprezentując typ uczonego o szerokich horyzontach, nie zacieśniającego swej działalności do granic gabinetu, łączy w sobie dwie tylżyż rzadkie co bezcenne osobowości: uczonego i społecznika, wrażliwego na przeobrażenia nauki współczesnej i w równej mierze uwróżlonego na konieczność przenoszenia jej wyników w szerokie kręgi społeczeństwa.

Składając dzisiaj hołd Naszej Pani Profesor, my, uczniowie, wyrażamy głęboką wdzięczność, podziękowanie, słowa czci i miłości.

go pisma dokonywa się żywa wymiana myśli humanistycznej Wschodu i Zachodu, intelektualne spotkania uczone, przekraczających sztucznie stwarzane bariery i granice. Nie darmo była Stefania Skwarczyńska przez wiele lat ostatnim reprezentatywnym członkiem polskiej delegacji ŚWIATOWEJ RADY POKOJU!

Współpraca Jej Zakładu Teorii Literatury z Zakładem Filmologii prof. Lewickiego jest znakomitą przykładem współzawodniczą i rozwoju interesującej dyscypliny naukowej i świetną szkołą sumiennych badań i teoretycznych dociekań. Uczy się tu jednocześnie nieposzlakowanej uczciwości, etyki badacza i sumiennosci. Takie są bowiem założenia pracy Stefania Skwarczyńskiej!

Dlatego mówimy jednak o teraźniejszości zamiast kreślić od razu obrazek przeszłości?









PRZYJACIEL  
W  
POTRZEBIE

Od trzydziestu lat zajmuję się studiami natury ludzkiej, ale wciąż wiem o niej niewiele. Na przykład wahałbym się zaangażować służącego bez rekomendacji, a tylko dlatego, że jego twarz wzbudziła moje zaufanie. A przecież bezsprzecznie naj-

częściej wyrabiamy sobie opinię o ludziach w zależności od tego, czy podoba nam się ich aparycja, czy nie. Wzruszam tylko ramionami, gdy słyszę, jak ktoś mówi, że dla niego decydujące jest tzw. pierwsze wrażenie. Jeśli chodzi o mnie, to nieraz stwierdzałem, że im dłużej ludzi znam, tym bardziej mnie zdumiewają, a moi najstarsi przyjaciele, to akurat ci, o których śmiało mogę stwierdzić, że stanowią dla mnie absolutną zagadkę.

Wszystkie te refleksje przyszyły mi do głowy, gdy przeczytałem, że Edward Hyde Burton zmarł w Kobe. Był on kupcem i prowadził interesy w Japonii od wielu lat. Właś-

nie jemu zawdzięczałem kiedyś taką ogromną niespodziankę. Gdybym przed laty nie usłyszał tej historii z jego własnych ust, nigdy bym nie uwierzył, że ten człowiek był zdolny do czegoś takiego. Wydawało mi się to tym bardziej zadziwiające, ponieważ Burton sprawiał wrażenie jednego z tych ludzi, o których się mawia, że są „zawsze na miejscu”.

Biura jego mieściły się w Kobe i właśnie tam, w Klubie Brytyjskim zostałem mu przedstawiony. Zagrał mi wtedy interesującą partię bridge'a. Burton był małomówny, opanowany, humor jego wydał mi się nie-

co ciepły. Nazajutrz zaprosił mnie na obiad, poznałem wtedy jego żonę, grubą, starszą i zawsze uśmiechniętą i jego dwie córki. Była to bardzo kochająca się rodzina i już wówczas w Burtonie uderzyła mnie ciepła serdeczność. Jego niebieskie oczy były łagodne, głos cichy i taki miły. Po prostu trudno było sobie wyobrazić, że ten człowiek mógł kiedykolwiek wpaść w gniew. Krótko mówiąc, Burton był czarujący, ujmowało to tym bardziej, że nie dostrzegłem w nim ani śladu prudencji. Lubił karty, koktail, a czasem i pieprzną historijkę. Wielki majątek zawdzięczał sam sobie, ale zarazem czuło się, że — jak to się mówi — nie załby nawet muchy.

Któregoś popołudnia znów spotkaliśmy się w Grand Hotelu i Burton zaproponował mi drinka. Popijając gin, spytał mnie czy znam jednego z miejscowych asów brydża. I tak rozmawiając o grze wymienialiśmy nazwiska innych dobrych graczy, aż Burton zagadnął czy w Londynie nie spotkałem się z Lenny Burton. Gdy zaprzeczyłem, Burton pociągnął gina i opowiedział mi tę historię.

Otóż Lenny, zresztą jakiś jego daleki krewniak, był ładnym chłopcem z gatunku tych, którzy się podobają kobietom i to go chyba zwichnęło, bo zaczął pić za dużo, a potem żyć z kart. Grywał również i tutaj, w klubie, nieraz zagarniał pieniądze i od mego rozmówcy. Opowiadając o tym Burton uśmiechał się pobłażliwie. Wiedziałem, że umie „z dobrą miną” przegrywać.

Tak czy owak grywaliśmy często — ciągnął swą opowieść Burton — i chyba dlatego Lenny właśnie do mnie się zwrócił, kiedy nagle powinęła mu się noga i został bez grosza. A może sprawiło to nasze powinowactwo, dalekie zresztą? Dość, że zjawił się w moim biurze i poprosił o pracę. Spytałem go ile ma lat i czy ma jakiś zawód. Okazało się, że do trzydziestego piątego roku życia jeszcze nigdy nie pracował. Powiedziałem mu więc, nie mogąc się powstrzymać od śmiechu, że nie się nie da zrobić. Wtedy zbladł i zaczął mi opowiadać, że zgrał się do grosza, że nie ma na zapłatę hotelu, i jeśli mu nie pomogę, to chyba popełni samobójstwo.

Rzeczywiście musiał tego pić ostatnio, bo postarzał się, wyglądał na pięćdziesiątkę i widać było, że znalazł się na dnie. Spytałem go więc, czy prócz gry w karty nie umie czegoś jeszcze.

— Umie pływać — odpowiedział.

Zabrzmiało to tak absurdalnie, że nie wierzyłem własnym uszom. Ale Lenny, wyjaśnił, że pływał w dru-

żynie uniwersyteckiej, wędrym zrozumiiałem, że było to chyba jego jedyne osiągnięcie w życiu i nagle przyszedł mi do głowy pewna idea.

Gdy byłem młody przepłynąłem z Kobe wokół przylądka, aż do ujścia Tarumi. To trzy mile i trasa diablo trudna ze względu na prądy. Teraz powiedziałem swe mu imiennikowi, że też kiedyś pływałem dobrze, że mam na swym koncie taki sukces i jeżeli on powtórzy ten mój wyczyn, to dam mu pracę. Moja propozycja bardzo go zaskoczyła.

— Przecież sam pan wspominał, że jest świetnym pływakiem — powiedziałem, widząc, że się waha.

— Nie jestem w dobrej kondycji — mruknął.

Wzruszyłem tylko ramionami — i milczałem. Popatrzył na mnie wyczekująco, aż wreszcie po chwili zgodził się.

— W porządku powiedział — Kiedy pan chce, że bym to zrobił?

Popatrzyłem na zegarek. Akurat minęła dziesiąta.

— Przepłynięcie tej trasy zabierze panu około godziny. Pojadę do ujścia, tak że by tam spotkać pana o wpół do pierwszej, zabiorę

pana do klubu i zjemy razem obiad.

Chwilę milczał, potem cicho powiedział: — Zgoda.

Wtedy uściskaliśmy sobie ręce. Zyczyłem mu pomyślności. No i poszedł. Miałem dużo roboty ale do Tarumi zdążyłem na czas, choć i tak nie musiałem się śpieszyć, bo nigdy się tam nie zjawił.

— Stchórzył?

— Nie, skądże. Wystartował. Ale pijaństwo wykończyło go i nie dał sobie rady z wirami. Nie mogliśmy znaleźć jego ciała przez trzy dni.

Minęło parę chwil nim coś wybąkałem, tak byłem wstrząśnięty. Potem spytałem Burtona, czy wtedy, gdy ofiarował na takich warunkach pracę Lenny'emu spodziewał się, że nieszczęśliwie utonie.

Edward Hyde Burton spojrział na mnie swymi dobrymi, łagodnymi, niebieskimi oczami i w zamysleniu potarł delikatną dłońią policzek.

— Widzi pan — powiedział — tak się składało, że wówczas akurat nie miałem w mych biurach żadnego vacatu.

SPEKTAKLE tygodnia

FILM	
POLONIA	„Wspaniały rogowca”, 35 seansów 14.182 — 50%
WŁÓKNIARZ	„Syn kapitana Blooda”, 35 seansów 16.434 — 70%
TEATR	
POWSZECHNY	„Dom otwarty”, 4 spektakle 2.668 — 100%
	„Nasze miasto”, 2 spektakle 664 — 50%
	„Tango”, 3 spektakle 1.656 — 84%
	„Niewidzialny książę”, 2 spektakle 1.336 — 100%
NOWY	„Lato w Nohant”, 2 spektakle 1.400 — 100%
	„Ali-Baba i 40 rozbójników” 3 spektakle 2.100 — 100%
	„Dożywocie”, 2 spektakle 1.000 — 75%
MAŁA SALA	„Indyk”, 1 spektakl 200 — 100%
	„Drewniana miska”, 2 spektakle 400 — 100%
JARACZA	„W pustyni i w puszczy”, 4 spektakle 2.546 — 96%
	„Kolumbowie — rocznik 20”, 3 spektakle 1.507 — 75%
7,11	„Kłameczucha”, 5 spektakli 2.130 — 100%
OPERETKA	„Piękna Helena”, 7 spektakli 4.966 — 74%
FILHARMONIA	2 koncerty symfoniczne 852 słuchaczy 65%
ESTRADA	„Express swoim Czytelnikom”, 16.000 — 100%



JAK WIADOMO...

Lewym  
okiem

Najważniejszą rzeczą w dyskusji jest refleks. Nie dać się zagiąć, odpowiadać natychmiast na każdy argument. Jeśli nie mamy pod ręką dowcipnej riposty, wystarczy — jak w dogmatyce — powołać się na autorytet wszystkich, więc niczyj. Mówi się więc: Wszyscy przecież od dawna wiedzą, że... Albo: Każdy ze zdrowo myślących ludzi doskonale wie, że... Albo po prostu: jak wiadomo...

Ktoś bardzo złośliwy dodaje jeszcze przymiotnik, mające pośrednio zgniebić dokumentnie przeciwnika, ośmieszyć go i unicestwić. Na przykład: Każdy głupi wie... Każdy jako tako inteligentny zdaje sobie sprawę... co oczywiście momentalnie przekonuje wszystkich, że człowiek odmiennie zdania nie jest inteligentny, nawet jako tako.

Tymczasem wcale nie zawsze „wiadomo”, nie

zawsze „przecież”, nie zawsze „wszyscy”. Nie dajmy się zastraszyć, dyskutujmy.

Nowy, radiowo-telewizyjny felietonista „Współczesności” gotów jest dać słowo honoru, że „każdy jako tako doświadczony (w sprawach telewizji — przyp. mój.) człowiek wie, iż nie sposób sprawić, aby Wrocław czy Łódź mogły udźwignąć ciężar ogólnopolskiego programu. Mogą go uzupełniać, ale nie zapełniać”. Felietonista nie tylko daje dyskretnie do zrozumienia, że cały Komitet do Spraw Radia i Telewizji składa się z osób znacznie mniej doświadczonych od niego, lecz wyraźnie „stawia Komitetowi zarzut, że ulęgając naciskom prowincji roztrwonił zasoby, potrzebne na silny ośrodek centralny”. Czyli inaczej: każde dziecko wie, że należałoby budować telewizję tylko w Warszawie, tym bardziej, że widza interesuje „dobry program bez względu na to, skąd jest nadawany”.

Ano, jak mówią Czesi. Po co stacja w Szczecinie, kiedy blisko jest Berlin — znacznie bliżej niż Warszawa — i nadaje świetne programy, zwłaszcza ten Zachodni? Przeproszę, to może za mocne. Ale cóż za bogactwo interpretacji kryje się za zdaniem o „roztrwonieniu zasobów, potrzebnych ośrodkowi centralnemu”!

Po cóż marnie sklepiki na przedmieściach, skoro nie ma superlukuusowego Cedetu na najwię-

kszym placu Europy? Po co biblioteki w powiatach i gromadach, skoro w stolicy jeszcze nie stoi drapacz nieba nabitą miliardami tomów?

Wystrzał gromki, ale chyba niecelny. Żaden ośrodek prowincjonalny nie tylko nie może, ale i nie chce udźwignąć ciężaru ogólnopolskiego programu. Każdy natomiast nie tylko może, ale i powinien i musi właśnie uzupełnić i ać ten program, uczestniczyć w nim, pokazać Polsce także swoich aktorów, swoje sprawy, swoich twórców.

Cóż, Komitet siedzi i — zdaniem felietonisty — „ze specyficznym upodobaniem gada o duchach”, „leże abstrakcyjne banaly” i „robi szlachetne miny”. Felietonista zna te miny, bo często bierze udział w dyskusjach wewnętrznych Komitetu. Odkąd się do tego przyznał mamy nadzieję, że miny się podciągną. Już nawet znalazł się jeden rozsądny: kiedy zaczęto dyskutować o tym, jak powinno się opracowywać informację w telewizji, uciął krótko i genialnie: tak, żeby była dobra.

„Te dwa słowa otrzeźwiły zebranych”. I smutno, i śmiać się chce. Co tam „specyfika telewizyjna” i „radiowa odrębność twórcza”? Co tam Łódź, Katowice, Wrocław, i Szczecin! Wiadomo, że to bzdury, i trwonienie zasobów. Wiadomo też, jaki powinien być felieton: dobry.

Czy już wszyscy zostali otrzeźwieni? CWIEK. —